



Rozdział XIV

Pamiętam, że tamten miesiąc upłynął mi w jednym wielkim zmęczeniu, pocie i bólu. Vegeta był zupełnie innym charakterem niż Goku – i choć i jeden i drugi był surowy, jeżeli chodziło o trening, to przy jednym byłem jak uczeń, przy drugim niczym rywal. Księżę saian najlepiej rozumiał naukę poprzez ból i najczęściej taką stosował.

Może dzięki temu obydwaj poczyniliśmy takie postępy?

Mimo wszystko, był to spokojny i szczęśliwy czas, w którym często widywałem swoich przyjaciół. Wszyscy wyczekiwali nieuniknionego, każdego dnia starając się być przygotowanym na jego nadejście, ale nikt – może pizza Bulma i Chi-Chi, które straciły swoich synów... i Krilana, zazdrosnego o żonę spędzającą coraz więcej czasu z Tensinhanem – Nie wydawał się przybity czy zrezygnowany. Wszyscy mieli nadzieję.

W tym czasie wielokrotnie powracało pytanie: co się dzieje z Piccolo? Nie widzieliśmy to od wspólnego powrotu na Ziemię, nie sposób było też wyczuć jego ki. On za to szykował dla nas coś prawdziwie zaskakującego...

I to nie była jedyna z niespodzianek, które miały nas czekać.

Zjawili się o świcie – przynajmniej w tej szerokości geograficznej, do której się przenieśli. Nic nie zapowiadało, że to będzie właśnie ten dzień.

Krilan dopiero co wrócił z Yamcha z baru kilka wysepek od domu Genialnego Żółwia. C18 spała twardym snem, ponieważ tak, jak co dzień, trenowała wraz z Tensinhanem (na szczęście miał dość dużo pieniędzy, by jej płacić przez ten cały czas). Vegeta dopiero co się położył, jak zawsze dając z siebie poprzedniego dnia sto pięćdziesiąt procent. Uub spał już od jakiegoś czasu w jednym z pokoi gościnnych rezydencji Briefsów (mieszkał tam przez cały ten czas). Kaiobito doskonalił swą boską sztukę władania mieczem, właśnie miał szykować się do kolacji z seniosem bogów, ponieważ w ich świecie zapadał już wieczór. Trunks i Goten nudzili się na planecie Północnego Kaio, który nie mógł już ich nauczyć niczego więcej.

Gohan był razem z rodziną, na wakacjach gdzieś w jednym w tropikalnych kurortów – miejsce dobre do treningu jak każde inne, gdy postanowił rzucić pracę i karierę naukowca. Popo... robił to co zwykle, popijał herbatę i doglądał pałacowego ogrodu, jednocześnie w każdej sekundzie oczekując nieoczekiwanego i zadręczając się każdą myślą. Naliczanie i Nowi Nameczanie, rozrzućeni po światach w innej galaktyce, zajmowali się swoimi sprawami i przetrwaniem w nowych warunkach, nawet nie zdając sobie sprawy z powagi zagrożenia (Dende wyrastał powoli na planetarnego przywódcę, kiedy coraz więcej grup dostrzegło jego mądrość). Piccolo... też się przygotowywał, z dala od wszystkich, w odosobnieniu, na swój nowy sposób. Goku czekał tuż za granicą światów, próbując wyczuć czy coś dzieje się w jego

macierzystej rzeczywistości. Karin doglądał swojego sensu, a Yowamuchi nadal mieszkający u Baby Guli, doskonalił się w nowej sztuce i starał opanować swoje wizje – znów zaczął spisywać to, co podpowiadała mu wyobraźnia.

Tego dnia, gdy miało się to stać, obudził się chwilę przed, z krzykiem jak kiedyś. Czas zaskoczył i jego i nie było już chwili, by kogoś powiadomić.

Bez eksplozji, bez huków i uderzeń fal, bez powiesi wiatru, na Ziemię zstąpił Wielki Dono. Niszczyciel światów.

Nawet liść nie spadł z drzewa, nawet kamień nie obruszył się na ścieżce, kiedy się pojawił. Jakby go w ogóle nie było. Jakby był tylko cieniem, mirażem, igraszka światła. Samozwańczy zbawca wszech-wszechświatów. Wydawać by się mogło, że nawet powietrze stoi w miejscu choć jego pierś unosi się w oddechu.

Nikt nie zauważył jego przyjścia.

Nikt by się nie pojawił, gdyby nie prorok z przypadku, który widział go wewnętrznym okiem i zawiadomił obrońców Ziemi o jego przyjściu, by go szukali. Opis miejsca wiele ułatwiał, choć planetą była ogromna.

- Plugawy świat. - zaklął ledwie słyszalnie. – Nie czujecie tego? – zwrócił się do swoich towarzyszy. Dwóch z nich, Rero i Koko, wiedzieli dobrze, że jest to przytyk w ich stronę. Woleli milczeć. Trzeci, trzymający się blisko Wielkiego Dono, robił mądrą minę, ale też nic nie mówił. – Niczego się nie nauczyliście. – westchnął.

- Ktoś się zbliża. – odezwał się w końcu Wędrowiec najbliższej przywódcy.

- Myślisz, że tego nie wyczułem? – zbeształ go Dono. - Skąd wiedzieli, że się zjawiliśmy... – zapytał sam siebie. – To nawet lepiej. Najpierw zgasimy najgroźniejsze istnienia, potem rozwiążemy problem. – oznajmił, mając na myśli zagładę tego wszechświata. Spokojną, metodyczną, kawałek po kawałku, tak, by nieopatrzenie nie uszkodzić sąsiednich rzeczywistości zbyt wielką emisją energii. Kiedyś, gdy założył Zakon Wędrowców poprzez Światy (nikt nie używał pełnej nazwy, jednak nie miał zamiaru jej zmieniać) i obrał im za cel ratunek wszystkich pozostałych uniwersów, zniszczenie całego wszechświata wpływało u niego poczucie winy. Później, gdy przywykł, odczuwał nawet pewne podniecenie przed takim aktem zaplanowanej w szczegółach destrukcji. Przywykł jednak i do tego i teraz nie czuł absolutnie nic. Co innego, co było związane z tym światem, miał za ważne. – Popo nie ma wśród nich. Jest daleko na wschodzie. Zróbmy to szybko.

- Tam są! – krzyknął ktoś z nieba i ki, które się do nich zbliżały, zrobiło się jeszcze więcej. Wędrowcy czekali. Szybko, w pojmwaniu Wielkiego Dono było wtedy, gdy już wszystkie cele się zbiorą. Choć sam posuwał się nie raz do skrytobójstwa, wolał honorową walkę.

- Pojawiła się jeszcze jedna wielka ki. Zbliża się szybko. - odnotował wędrowiec, który nie zdradził jeszcze swojego imienia. – Pojawiły się kolejne dwie..

Wylądowali.

Obrońcy Ziemi i całego wszechświata.

Gohan, pierwszy, który natrafił na ślad. Wraz za nim Vegeta i Uub, już gotowi do walki.

Kaiobito, który przybył ze świata bogów. Tensinhan, pragnący wypróbować rezultaty swojego treningu i zaskakująco pewny siebie. Dwójka wojowników z aureolami nad głowami, która zjawiała się w ostatniej chwili – Trunks i Goten. I ostatni, Piccolo, którego nie widzieli ani razu od ponad miesiąca. Był zupełnie odmieniony. Zamiast nameczanskiej zieleni, pokryty był złotą skórą niczym zbroja. Do tego rogi zamiast czułków. Wyglądał tak zupełnie tak, jak Saichoro.

- Pozwolili wam przyjść! – ucieszył się Gohan, gdy zobaczył nastolatków, a ci uśmiechnęli się szelmowsko. – Co ci się stało, Piccolo?

- Widzieliśmy ciało Saichoro... – odezwał się Trunks.

- W życiu nie połączyłbym się z tym śmieciem. – odparł ostro. – Ale pozwoliłem sobie zatrzymać kilka komórek... to wystarczyło.

- Każda rasa jest do tego zdolna. – powiedział raczej sam do siebie Tien, jak gdyby odmawiał mantrę.

- Hmmm. – chrząkał cicho Wielki Dono.

Gdy na niego spojrzeli, od razu domyślili się skąd taki przydomek. Przerastał najwyższego z nich, Piccolo, o głowę, do tego był zbudowany niczym wyciskamy ze skały niezgrabny gigant, każda jego część była toporna i surowa. Był zdecydowanie największym murzynem jakiego widzieli. Do tego nosił zbroję, w odróżnieniu od zwiewnych szat jego towarzyszy. Błysk w oczach, równie nieprzeniknionych co każdego z jego rasy, nie pozwalał go lekceważyć. To nie typ, który przez swój rozmiar straciłby na szybkości. Był raczej niczym wielki przyczajony tygrys, gotów do skoku.

- Czy to już wszyscy? – zapytał.

Nikt mu nie odpowiadał, więc uznał, że tak.

- Więc możemy zacząć.

Kiedy rozpoczęła się batalia, niemal wszyscy z grona licznych przyjaciół obrońców wszechświata zebrali się w Pałacu Wszechmogącego. Pojawiła do tam nawet Baba Gula z Yowamuchim. Popo wykorzystał jej kryształową kulę jako odbiornik i podłączył ją do całkiem nowoczesnego kina domowego, które zupełnie nie pasowało do pałacowego klimatu, jednak jakoś się tam znalazło i wszyscy mogli wyraźnie widzieć przebieg starcia. Na tyle wyraźnie, na ile pozwalała szybkość wojowników.

- Nadal uważam, że wasze przebywanie tutaj jest bardzo niebezpieczne. – Popo od początku nie chciał przestać na to, by właśnie w jego Pałacu cała grupa miała się zgromadzić, jednak jak na Wszechmogącego miał zbyt małą siłę przebicia... szczególnie w porównaniu do Chi-Chi i Bulmy, które chciały oglądać walkę swoich martwych synów. – Dono przyjdzie po mnie...

- Chłopcy go pokonają. – uspokajała go C18, zakładając popcorn.

- A ty czemu nie jesteś z nimi? – Bułka zrobiła marsowa minę i wzięła się pod boki.

- Nie lubię walczyć.

- Trenowałaś z Tensinhanem.

Osiemnastka tylko wzruszyła ramionami.

- Bo mi płacił.

Kobiety mierzyły się morderczo zimnymi spojrzeniami.

- Zobaczcie, zaczęli! – zwrócił ich uwagę Krilan, który wołał, by nie doszło do starcia dwóch silnych kobiecych charakterów.

- Hmm... Gohan świetnie sobie radzi.

Gohan świetnie sobie radził.

Od pięciu minut udało mu się nie zginąć.

Reszta radziła sobie nie gorzej, choć mieli tę przewagę, że nie walczyli w pojedynkę z jedną z najsilniejszych istot w wieloświecie.

Rero mierzył się z Vegetą, który – mimo własnej woli – był wspierany przez Piccolo. Książę saian, czy też Małpi Król, nie chciał żadnej pomocy, jednak Nameczanin teraz, kiedy już wedle własnego mniemania dostał się do pierwszej ligi kosmicznych wojowników, nie chciał siedzieć bezczynnie.

Ich walka szybko przeniosła się dość na północ, na pustkowia, te same, gdzie kiedyś mały Goku i Bulma spotkali Yamche. Choć Vegeta by tego nie przyznał, dobrze spisywali się jako duet – on atakował Rero z ziemi, Piccolo za to dominował w powietrzu. Razem potrafili sprawić mu nie lada kłopoty, jednak zabójca nie był amatorem i także przygotował się do walki.

Raz, kiedy padł w piach pustyni, ściągnięty z nieba przez małpi skok księcia saian, wykorzystał tę okazję by skryć się w piasku. Doskonale ukrywał swoją ki, przeciwnicy nie mogli to znaleźć.

- W takim razie rozpieprzę całą pustynię! – krzyczał zniecierpliwiony Vegeta. – Nie myśl, że uda ci się przeczekać moją przemianę, nie zmarnowałem tego miesiąca!

Ale cel Rero był inny.

Tuż pod powierzchnią piasku, spływając oddech, wyobrażał sobie nic. Strunę tak cienką, że niemal niewidoczna. W taki promień chciał uformować swoją moc. Upakować jej jak najwięcej w jak najmniejszej przestrzeni, tak, by technika była prawdziwie mordercza. Tamtym razem Vegeta stracił od niej oko, teraz...

Kula energii wystrzeliła przez Piccolo eksplodowała tuż obok niego, zrywając zeń zasłonę piasku.

- Tu jest! – krzyknął złoty diabeł.

Rero musiał zmienić plany i obrać inny cel. Już parokrotnie uderzał w Piccolo, chcąc to jak najszybciej wykluczyć, ale jego skóra była niczym zbroja, która pochłaniała wszelkie ataki. W ofensywie nie stanowił wielkiego zagrożenia, jednak jego defensywa była nieprzejeđnana. Wędrowiec wyciągnął mi niemu pięść i wysunął jeden palec. Niewidzialny, cienki niczym nitka upleciona z pojedynczy atomów promień pomknął ku Nameczaninowi. Puccini nie zdążył zareagować. Atak dobiegł go nim wykonał unik i zszedł z linii strzału. Strzału jednej chwili przypomniła mi się walka sprzed lat, jakby z innego życia, kiedy w podobny sposób uśmiercił

go Freezer.

Tym razem nie zginął.

Promień uderzył go w pierś, tam, gdzie ziemianie posiadali serce, ale nie zranił jego ciała. Złota zbroja uratowała mu życie, choć nas jej idealnie gładkiej tafli pokazała się teraz pierwsza rysa, a siła uderzenia wypchnęła powietrze z jego piersi i gdyby nie Vegeta, który od razu skoczył mi Rero, naraziłby się na serię kolejnych ataków i możliwe nawet, że zginął. Na razie jednak zachował życie...

Koko walczył za to z Gotenksem i Kaiobito. Pół-saiyanie, którzy wiedzieli już na co go stać, przygotowali dla niego parę niespodzianek... zaś z Kaiobito mógł skrzyżować miecze jak prawdziwy szermierz z szermierzem.

Tym razem Koko nie tracił czasu - od razu przyzwał ostrze, które okryło jego niegdyś uszkodzoną dłoń i przedramię niemal do łokcia. Drugą rękę pozostawił wolną w sobie znanym celu. To na nią wojownicy musieli bardziej uważać.

- Tutaj, dupku! – krzyk tuż nad głową zmusił Koko do wycofania się. Skrzyżował miecze z Kaiobito i już wygrywał wymianę ciosów, jednak znów dali o sobie znać walczący w duecie natręci. Uskoczył do tyłu i ciął szybko do góry. Trafił. Przeciął Gotenksa w pół, niesamowicie ostra energetyczna klinga nawet nie poczuła oporu.

Wtem Gotenks spuchł, niemal rozdzielił się na dwoje i wybuchł.

W tym samym momencie coś zdzieliło Koko prosto w plecy, potężnym uderzeniem posyłając wprost na wyciągnięty sztych Kaiobito. Wędrowiec był na to przygotowany.

Rozpostarł drugą dłoń i najszybciej jak tylko mógł przyzwał niewielkich rozmiarów, wręcz mikroskopijną, grawitacyjną kulę. Nie wpłynęła ona na ciężenie wszystkiego wokół – ale nie takie przeznaczył jej zadanie...

Nieznany obrońcom Ziemi pobratymca Wielkiego Dono przypadł Uubowi i Tensinhanowi. Nikt nie wiedział, czym ten może wykazać się w walce. Dlatego był najbardziej niebezpieczny.

- Nie chcesz się wycofać? – zagadnął Uub Tiena, kiedy po raz kolejny i ciągu kilku minut uratował to przed stratą życia z ręki silniejszego i o wiele szybszego przeciwnika. Choć bardzo silny, trójki wojownik pozostawał człowiekiem... Na szczęście Uub opanował swą transformację niemal do perfekcji.

- Daj mi chwilę. – odparł tylko Tien.

Murzynek kiwnął głową i ruszył do walki.

Jego przeciwnik okazał się sporym wyzwaniem. Płynął niczym woda, czasem przyjmując pozy, których – Uub był pewien – nie powinno móc wykonać żadne ciało posiadające mięśnie i kości. Wół się niczym wąż i atakował jak porywisty wiatr, nieoczekiwanymi seriami ataków. Kiedy Uub zablokował jego ręce, dosłownie zionął w niego ogniem... odwracając przy tym głowę o sto osiemdziesiąt stopni do tyłu. Tylko refleksowi młody uczeń saiyan zawdzięczał to, że stracił jedynie kawałek grzywki i brew, oraz poparzył policzek. To zdecydowanie nie był zwykły ogień. Ani zwykły przeciwnik.

Tien tymczasem mrucząc pod nosem mantrę zamknął oczy.

Gohan był w tym sam.

O ile reszta wojowników rozpięzchła się w różne strony, prowadząc dynamiczne i widowiskowe batalie, o tyle oni zostali tam, gdzie się zobaczyli po raz pierwszy.

To Gohan nabierał. Atakował, stosował fortece, obmyślał plan działania – w każdym momencie dając z siebie wszystko, cały czas korzystając z uwolnienia mocy jakiego doznał dzięki rytuałowi seniora bogów i w każdy cios lokując tyle energii by był jak najskuteczniejszy, nadając jej kierunek i cel, zgodnie z treningiem Popo. No jednostka ki nie mogła się zmarnować. Atak, unik, obrona, rozeznanie, fortel, atak. W każdym momencie działał metodycznie, perfekcyjnie, bez błędu.

Mimo to nie udało mu się przesunąć Dono z miejsca nawet na krok. Mistrz wędrowców był oszczędny w ruchach, czasem Gohanowi wydawało się, że w ogóle się nie poruszał, a mimo to jego ataki nie trafiały do miejsca przeznaczenia. Uderzał w podobny sposób – szybko, krótko, bez współruchów, ledwie tylko balansując ciałem, nigdy nie stosował serii ciosów, tylko pojedyncze ataki.

Z zewnątrz wyglądać mogło na to, że to pół-saiyanin posiada w tym starciu inicjatywę.

- Interesujący dzieciak. – powiedział niszczyciel światów.

A potem zadał uderzenie.

Pierwsze, którym trafił do celu.

- Tylko na tyle cię stać?!

Piccolo, choć odczuł siłę ataku i nadal ból rozlewał się po jego piersi, nie chciał dać po sobie poznać, że uderzenie wywarło na nim jakiegokolwiek wrażenie. Aspekt psychologiczny walki był nie do przecenienia, nawet, jeśli drugą stroną też była zawodowcem.

Pomknął szybko w dół, by wspomóc Vegetę.

Przekalkulował sobie wszystko. Musieli skończyć pojedynek szybko, inaczej przegrają. Transformacja księcia saiyana, choć już poskromił jej nic i wprawił się w korzystaniu z niej, miała swoje ograniczenia. Za to jego obrona... po pierwszej rysie dużo łatwiej dorobić się drugiej.

Dlatego musieli jakoś podejść Rero.

Dlatego spadł na niego niczym meteor, własnym ciałem wbijając z powrotem w piach pustyni. Spojrzał na ułamek sekundy głęboko głęboko oczy swojemu towarzyszowi, w nadziei, że pochwyci jego plan – i zaczął walczyć.

Zasypywał przeciwnika gradem ciosów, które nie były jakoś szczególnie mocne, ale wkładał w nie na tyle dużo siły, by zmusić Rero do reakcji. Kopnięcie w gołeń, lewy prosty, prawy hak, łokieć w podbrzusze – uderzał wszędzie, zmieniając stałe kombinacje i rytm, chciał zmusić go by tańczył wedle narzuconych reguł. Sam także przyjmował ciosy – w żadnym wypadku Rero nie pozostawał mu dłużny. Złota obrona powoli słabła w najbardziej narażonych na atak miejscach, jednak pierś, jak dotychczas jedyna naruszona część zbroi, nie była szczęśliwie miejscem największej ilości ataków.

Co on robi, do cholery?! myślał Piccolo, kiedy mijały kolejne sekundy morderczego tempa uderzeń i uników, a Vegeta się nie pokazywał.

Wtem dostrzegł kątem oka wysoko na tle nieba jakiś ruch, niby błyskawica, która pędziła wprost ku nim.

Rero też to spostrzegł, mimo starań Piccolo w tej krótkiej wymianie ciosów nie zapomniał o drugim zagrożeniu – pozwolił się zaatakować, opuścił gardę licząc się z możliwymi obrażeniami, całą siłę skupił na wystrzeleniu natychmiast jak najdalej od tego miejsca, w które pędził grom z przestworzy.

Piccolo nie zdążył cofnąć ręki – uderzył Rero prosto w twarz, a ten wykorzystał i tę siłę i pomknął daleko w tył.

Akurat w momencie, kiedy z nieba spadł Vegeta, ułożony w strzałę, z nogą jako grotem. Padł prosto na wyciągnięte przedramię Piccolo.

Cel był nieuchwytny.

Wymykał się z każdej pułapki, potrafił w porę zareagować na każdy fortel. Gdy Uub użył kul ki, które same naprowadzały się na cel, ten potrafił je w porę wyczuć i wyminąć. Poruszał się przy tym niewiarygodnie zwinnie. I tak samo atakował.

Każde uderzenie Uub odczuwał niczym smagniecie płynącym biczem. Każdy, nawet najzwyczajniejszy cios, zadany przez Wędrowca na pozór niedbale, był pełen energii niczym energetyczny pocisk. Młody obrońca Ziemi nie miał pojęcia jak i kiedy tamten uwalnia swoją ki, ale jedno widział na pewno: znajdzie sposób na tego sukinsyna i go zabije!

Demon w nim podszeptował mu pomysły, podsuwał mu słowa, wpływał na kształt jego myśli. I rozniecał gniew.

Sam mógł nie dać sobie rady w tej walce...

Tensinhan na szczęście zakończył przygotowania.

- Widzieliście to?! – Krilan poderwał się z krzeselka. – Widzieliście? – dopytywał, szukając potwierdzenia dla tego, co sam zobaczył.

- Udało mu się. – odetchnęła z ulgą siedząca obok męża C18.

- Ty... – Krilan spojrzał na żonę z zaskoczeniem odmalowanym na twarzy. - ...wiedziałaś, że on potrafi coś takiego?!

- Oczywiście. – wzruszyła ramionami. – W końcu trenowaliśmy razem.

- Jak mu się udało osiągnąć taki poziom...

Już podczas turnieju Krilan był zaskoczony formą, jaką prezentował jego stary przyjaciel. Moc, którą zapieczętował, a potem uwolnił podczas walki z Pan robiła wrażenie. Do tego podziela na trzech wojowników, z których każdy posiadał siłę oryginału... czy raczej przyzwanie dwóch pomocników... Krilan nigdy nie łudził się, że on, zwykły człowiek, doszedłby kiedykolwiek do takiego poziomu.

Ale to, co teraz zrobił Tien, było z zupełnie innej bajki.

To była najprawdziwsza transformacja!

Aura trójkiego przybrała złoty kolor, jakby naśladować poświatę wokół super-saiyan, do tego jego oczy zalał błękit, tak samo jak u kosmicznych wojowników. Na tym podobieństwa się kończyły.

Aura wokół Tiena zgęstniała, stała się niemal ciałem stałym... I można można niej było dostrzec dwa elektryczne buty, łądząco podobne do przyzwanyc na turnieju pomocników. Ich twarze, utkane ze złotych nitek energii, ułożyły się po prawej i lewej stronie głowy Tensinhana, nadając mu wygląd Buddy o trzech obliczach. Jego rekon towarzyszyły teraz dwie dodatkowe pary tych kończyn, również zbudowane ze złotych nici skondensowanej aury. Całe jego ciało pokrywała misterna plecionka energetycznych linii, wyglądających jak powidok dwóch ciał nałożony na trzecie.

Najważniejsza była jednak moc.

Dawny Tien, a ten, którego Krilan widział teraz, to byłby dwie zupełnie inne istoty, zupełnie różne światy.

- Jak to w ogóle możliwe? – dopytywał się Krilan. – Tor trochę niesprawiedliwe, że zwykli ludzie...

- Przed każdym stoją otwarte drzwi. – wszedł mu w słowo Popo. Do tej pory nie rozmawiał o sprawach związanych z funkcjonowaniem tego wszechświata z nikim poza Gohanem, ale teraz, kiedy toczyła do ostateczna bitwa... – Tien to zrozumiał. Chyba wtedy, kiedy dowiedział się o przemianie Uuba i kolejnej transformacji Vegety.

Wszyscy zebrani zrobili wielkie oczy, nieco upodabniając się przy tym do nowego Wszechmogącego.

- Czyli można być... Super-człowiekiem? Czemu nigdy nam o tym nie powiedziałeś?! – odezwał się wzruszony Yamcha.

Popo spojrzał mu głęboko w oczy i patrzył tak długo, aż tamten w końcu usiadł.

- Popracowałbym nad nazwą, ale tak, to możliwe. – potwierdził. – Czemu wam nie mówiłem? Nikomu nie zdradzałem tego, co wiem... A co by było gdybym powiedział? Czy to by coś zmieniło? Co, którzy teraz walczą, szukali własnych dróg sami, nigdy się nie poddając... to dlatego mogli osiągnąć to, co teraz. – kiedy obecni tam wojownicy, niegdyś ważni, odgrywający istotne role w obronie planety, którzy teraz mogli być tylko widownią, zrozumieli znaczenie tych słów, zawstydzili się i jakby zapadło w sobie. Popo za to zszedł nieco z tonu. - Wiedza o możliwościach jest ważna, ale ktoś zawsze musi być pierwszy. Sądzę, że w tym wszechświecie każda rasa ma możliwość transformacji. Przed wszystkimi stoją otwarte drzwi, by przekraczać swoje granice. Dlatego wasz świat jest wyjątkowy, inny niż pozostałe. Taka osobliwość przytrafia się bardzo, bardzo rzadko.

- Trafiłeś kiedyś na coś podobnego? – zapytała z czystej ciekawości odkrywcy Bulma, nawet nie odrywając oczu od ekranu. Tensinhan właśnie dołączył do walki, razem z Uubem próbowali dorwać swojego przeciwnika.

- Podobnego: nie. – odrzekł i zatopił się na chwilę w myślach. – Trafiłem kiedyś na zupełnie

odmienny świat. Świat, w którym byłem świadkiem czegoś, co na zawsze zostało w mojej pamięci.

Zaczął opowiadać.

I już nie wiedzieli, co ich bardziej pochłonięło, obserwowanie walki, czy snuta przez boga opowieść.

...Koko, ciśnięty wprost w kierunku ostrza miecza, miał bardzo mało czasu na reakcję. Na szczęście udało mu się użyć związania materii na chwilę przed tym, gdy stał zagrożona jego ciało. Stworzył jedynie maleńką kulkę, wielkości bardziej jak ziarenko piasku niż paznokiec, ale to powinno wystarczyć.

W ostatniej chwili wysunął dłoń przed siebie, niemal dotykając czubka broni Kaiobito, a kula zaczęła robić swoje. Miecz odkształcił się, zaczął rozpadać i znikać – małe odłamki strzelały wokół, resztę zjadała sama kula. Pęd pchał go dalej, aż po rękojeść, a miecz odchodził w niebyt.

...a potem dalej, przez dłonie i ramiona kompletnie zdezorientowanego Kaiobito. Jego ciało rozpadało się, strzelały kości, pękały mięśnie, wszędzie tryskała posoka – i nagle był koniec. Koko wpadł na niego, rozproszył się i energetyczne ostrze zniknęło, ale nie było mu już potrzebne. Bóg nie nadawał się do walki – jego ręce zniknęły do połowy przedramienia, nim związanie zakończyło się.

Kaiobito mocno krwawił i wpatrywał w kikuty, jakie mu zostały. Nie był już przeciwnikiem.

Szybkim kopnięciem Koko posłał go w stronę gruntu.

Został mu tylko Gotenks – czyli dwóch nas jednego.

Już raz doprowadził do ich śmierci... teraz robi to ponownie.

Senior bogów nie obserwował pojedynku w Pałacu Wszechmogącego – wolał zostać sam, w świecie bogów, który był dla niego bardziej odpowiedni. Przygotowywał Kaiobito do walki przez ostatni miesiąc, uwolnił cały potencjał, jaki tamten posiadał, sam nawet sporządził mu nowy boski miecz, w którym zaklął część swojej ki.

Wszystko to na nic.

Kaiobito jako pierwszy odpadł z walki – choć nic tego nie zapowiadało, choć nie odstawał siłą od reszty wojowników (a przynajmniej nie znacząco).

Rou wstał znad kuli, w której oglądał starcie. Postanowił udać się do świata śmiertelników i zabrać go stamtąd, nim ten straci życie, kiedy będzie próbował zrobić coś głupiego.

Gdy się teleportował, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wojownicy zajęci byli sobą, nawet nie wiedział, czy odnotowali fakt, że najwyższy z bogów, władca wszechświata, zjawił się obok nich. Tyle znaczyło jego pochodzenie i pozycja, jego tytuły i władza.

Wziął Kaiobito – który nadal wpatrywał się w miejsce utraconych rąk - pod bok i zabrał go z Ziemi.

Jako najwyższy kaioшин nic więcej nie mógł zdziałać.

Gdy już znikwały, usłyszał tylko krzyk zdenerwowanego Wędrowca.

- Zostaw go! Wszystkich trzeba zapieczętować!

Wielki Dono zadał cios.

Gohan nie do końca wiedział nawet, co tamten zrobił – najpierw pięść była nisko, a potem poczuł uderzenie w twarz i tylko coś, co przypominało dłoń, przemknęło mu przed oczami. Miesiące treningu, setki sparingów z Popo, walka z samym sobą a on przyjął cios jak kompletny amator, prosto w nos, który od razu trzasnął i zalał Gohana krwią. Siła uderzenia odepchnęła go na kilka kroków, miał milisekundy by przemyśleć co się stało, w czym zawiódł. Skupił się na ataku, precyzyjnie kumulował ki, ale czy różnie precyzyjnie bronił narażonych miejsc?

Wielki Dono nie dał mu długo się zastanawiać – ruszył się z miejsca po raz pierwszy, z pewnością szykując cios, jednak z jego ruchu nie dało się nic wywnioskować.

Uderzenie padło nagle. Mimo, że Gohan postawił gardę, wielki Dono znalazł w niej lukę i bił go od dołu w brzuch. Moc ciosu rozlała się po ciele pół-saiyanina, będąc zapowiedzią śmierci – ale tym razem był na to przygotowany. Wiedział, że nie uniknie ciosu i nie przejdzie do kontry, całą swoją energię ukierunkował na obronę kości, mięśni i narządów. Tyle mu się udało.

Siła uderzenia pchnęła go mocno do tyłu. Przeleciał przez las, zostawiając za sobą pasmo powalonych drzew i ognia. Przemknął przez pustynię, rozkruszając na pył kilka majestatycznych formacji skalnych, które natura rzeźbiła przez miliony lat. Przeleciał przez jedno miasto, nieszczęśliwie leżące na torze jego lotu, jednak opatrność chciała, by nic tam nie uszkodził. Zatrzymał się dopiero we wnętrzu góry daleko na północy.

Żył.

Nie miał obrażeń, poza obolałymi mięśniami.

Miał za to kilka sekund, by obmyśleć kolejny ruch.

Śmiech Rero doprowadzał Piccolo do szału.

Trzymał się za zwisające bezwładnie przedramię, wygięte w łokciu łokciu sposób, w jaki ten staw nigdy nie miał prawa się złożyć. Choć z zewnątrz jego ciało było całe, jednak energia ataku nie dała się zamortyzować do końca, nawet przez złotą obronę Nameczanina. Pojawiły się nowe rysy na jego zbroi.

Był zły. Zły na Vegetę, że wybrał tak idiotyczny sposób ataku, zły na siebie, że dał się tak zrobić, zły na zasranego dupka z innego świata, który drwił z nich otwarcie.

- Może zrobicie mi tę przysługę i sami się wykończycie? – krzyknął w ich kierunku.

Vegeta przykucnął zupełnie po małpiemu tuż obok Piccolo.

- Musisz to złapać. – zdecydował.

- W dupie mam twoje plany. – odparł rozgniewany Nameczanin.

- Złap go. Ja to teraz zajmę, ty go złap, a resztę zostaw mnie. – oznajmił i ruszył na swojego

przeciwnika, nie czekając do odpowiedzi.

Zaatakował na swój mały sposób, przerzucając z pomocą ogona środek ciężkości tak, by zmieniać trajektorie skoku i możliwy sposób ataku... ale Rero już to rozgryzł. Uniknął kopnięcia, sam wyprowadził szybką kontrę, krótki cios kolanem w mosznę a potem łokieć w szczękę – Vegeta odbił obydwa ciosy.

Trzeciego nie zauważył.

Skrytobójczy nóż w lewej dłoni Rero zbliżał się do ogona saianina, był już o milimetry, by zadać mu ranę. Wędrowiec nie wiedział, jaką moc jego przeciwnik zawdzięcza ogonowi – nie mógł tego wiedzieć. To, że wybrał taki cel było zwykłym zrzędzeniem losu, choć zaważyć mogło nas losach całej ich potyczki.

- Vegeta! – Piccolo zjawił się tuż obok, chwycił Rero za ramię w ostatnim momencie. Ten nie dał się na długo obezwładnić. Wykręcił młynek rękoma, przerzucił swój ciężar i poderwał Nameczanina do góry.

Wyrzucił ciężkiego Picollo w powietrze, ale musiał do tego użyć obu rąk i nie mógł zająć się przez tę chwilę księciem saian. To był błąd.

- Gin! – wrzasnął Vegeta i wbił dwa palce prosto w dziurki w nosie Rero. – Bakuhatu! – krzyknął jeszcze głośniej.

Głowa Rero eksplodowała w oślepiającym blasku.

W tej walce nie było miejsca na błędy – kiedy znów przystąpił do starcia, wiedział już, jakich błędów nie może popełniać. Przemknął jak rakieta przez pół kontynentu, w kierunku Wielkiego Dono, z każdym metrem nabierając prędkości.

Mistrz Wędrowców nie reagował. Stał w miejscu, zupełnie nie podnosząc gardy, jakby zupełnie mi sobie nie robiąc z pędzącego wprost na niego Gohana. Pół-saianin zdawał sobie sprawę, że Dono zareaguje w ostatnim momencie. I miał pomysł.

- Ha! – już będąc tuż celu, zrobił obrót w powietrzu, zamknął oczy i uwolnił skumulowana energię w jeden błysk aury. Cały świat wokół, od oceanu na południu po pustkowiu na północy, zalało światło. W którym zniknął Gohan, zmieniony w wielką żarówkę. – Masz! – krzyknął po raz drugi i zamachnął się.

Potężny hak pomknął wprost w kierunku podbródka Wielkiego Dono. To było nieprawdopodobne, ale nawet oślepiiony, w ostatniej chwili sparował cios.

To Gohan też przewidział.

W drugiej ręce przygotował cienki niczym tafla szkła dysk, którego blask zlał się w jedno z błyskiem jego aury, który jeszcze nie wygasł. To był prawdziwy atak.

Wypuścił ostrze tuż przy swoim ciele, przeleciało o milimetry od jego drugiej dłoni, aż czuł piekielne gorąco rozpędzonych atomów... a potem dobiegło celu.

Dono zachwiał się i postąpił krok do tyłu.

- Hokaku! – zawołał, machnął ręką i porywisty wiatr odepchnął Gohana na kilka metrów od niego, gasząc jego światło i rozwiewając nawet aurę.

Uczeń Wszechmogącego wylądował z gracją na nogi, a teraz, gdy nie było już oślepiającego światła, mógł wreszcie spojrzeć w twarz swojego wroga.

Od podbródka Wielkiego Dono, przez prawy policzek tuż przy oku aż do czoła biegła czerwona, krwista rana.

- Jeden do jednego. – podsumował Gohan i uśmiechnął się.

- Interesujący dzieciak. – powtórzył Dono a kąski jego ust jakby się podniosły. – Aż niemal szkoda, że zaraz będę musiał cię zabić.

Obydwaj ruszyli w swoim kierunku.

Gdy Tensinhan dokonał przemiany, szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę obrońców Ziemi. Choć ich przeciwnik był nieprawdopodobnie zwinny, sześcioreki Tien potrafił skutecznie zablokować mu wszystkie alternatywy ucieczki, co dawało Uubowi szansę na skuteczny atak.

Kopnięcie w podbródek.

Uderzenie z wysoka w kark.

Cios głową prosto w nos.

Tyle udało się im zdziałać do tej pory.

- Dosyć tego! – odezwał się w końcu milczący jak dotąd Wędrowiec głosem przepełnionym irytacją, po czym stuknął o siebie złotymi obręczami okalającymi jego nadgarstki i kostki. Te otworzyły się i spadły z impetem na ziemię, wybijając w niej sporej wielkości krater.

Wędrowiec za to... zniknął.

Chwilę później Uub poczuł bolesne ukłucie za kolanem, a potem w lewym boku. Polała się krew, młody wojownik wrzasnął.

Potem przyszła kolej na Tiena.

Dwukrotnie zaiskrzyły okalające go nitki skondensowanej aury, pękając przy tym jakby od uderzenia, za trzecim razem krwawa rama wykwitła na jego udzie.

- Stał się niewidzialny? – zapytał Uub, cały czas rozglądając się na boki. Próbował odgadnąć, skąd przyjdzie cios, uniknąć do lub sparować, jednak na jego ciele pojawiały się coraz to nowe rany.

- Nie. – odrzekł Tien. – Porusza się zbyt szybko.

- Aż tak?! – Uub próbował wykryć w atakach jakąś prawidłowość, jednak był coraz bardziej poraniony. Tien był w lepszej sytuacji, jego transformacja dawała mu większe możliwości obrony, jednak też doznał wielu ran, do tego jedna z jego efemerycznych rak zwiślała bezwładnie, kiedy popękały utrzymujące ją nici. - To czemu nas po prostu nie zabije?!

Trójki jednak nie odpowiedział, obserwował tylko przestrzeń, nie zważając na nowe rany.

- Mam tego dosyć... – Uub złapał siwe za głowę, gdy kolejny cios rozrąbał mu ucho. – Dosyć... DOSYĆ! – krzyknął. Nie jak człowiek. Krzyknął jak uwolniona z łańcucha bestia, żadna krwi, wygłodniała i wściekła. Fala dźwięku odbiła się w powietrzu, wprawiając w drgania cząsteczki wokół. Gniew, który narastał w trzewiach chłopca znalazł swoje ujście w przedłużającym się

wrzasku, który wprawiał ziemię we wstrząsy i rozgrzewał atmosferę niczym prawdziwy ogień. Atomy atmosferycznego gazu zderzały się, drżały, układały w falę jak gorące powietrze w pobliżu ogniska.

I nie wszędzie zachowywały się tak samo...

- Mam cię! – zawołał Tien i rzucił się w kierunku pustki... nagle obydwaj, on i Wędrowiec, runęli na ziemię. Już w locie Tien wiedział, co ma zrobić. Z całych sił ścisnął przeciwnika, wszystkimi pięcioma sprawnymi rękoma uniemożliwiając mu ruch.

Nie spostrzegł jedynie, że nóż skrytobójcy ominął jego obronę i wbił się między jego żebra.

- Uub! Szybko! – krzyknął, mając nadzieję, że przebiję się przez wrzask kompana i okazja, która może kosztować go życie, nie zostanie zmarnowana.

Wędrowiec wiercił się, próbując uwolnić, jednak nowe mógł pokonać determinacji trójkiego wojownika, który splótł uformowane z energii dłonie na plecach swej ofiary tak, że stały się nierozzerwalna obręczą. Póki będzie żył, póki jego przemiana będzie trwać, nic ich nie rozdzieli.

- Jak? – wykrztusił złapany w potrzask.

- Jesteś niesamowicie szybki, ale sam nad tym nie panujesz. – wykazał się przenikliwością doświadczonego w bojach wojownika Tensinhan. – Dlatego ataki były nieprecyzyjne i chaotyczne. Dlatego używałeś noża zamiast rąk lub ki. Dlatego przerwy między atakami były tak długie, bo nie mogłeś nawet wykonać manewru... Może by Ci się udało nas zabić, gdyby nie to, że powietrze cię zdradziło. – kaszlnął, a z ust popłynęła mu krew. – Idę o zakład, że tak szybko i zwinny, nie jesteś szczególnie wytrzymały... Trójki widzi więcej... Szczególnie, gdy ma trzy razy po troje oczu... – odrzekł i zamknął oczy, a uścisk powoli tracił na sile.

Tensinhan umierał.

Wędrowiec tylko prychnął pod nosem, wiedząc, że za sekundę będzie wolny.

Zastanawiał się tylko skąd uśmiech na twarzy konającego... i gdzie podział się krzyk, który rozbrzmiewał do niedawna. Nie zdążył się jednak odwrócić. Nom pękła ostatnia nić, czarne ręce złapały jego głowę i wykręciły w sposób, w jaki czynią to zabójcy, by śmierć przyszła natychmiast.

On był jednak giętki, przeżył i to.

Ale szczęki różowego demona, kły wyrosła tam, gdzie nie ma ich u ludzi, które wbiły się w jego odsłoniętą szyję i rozerwały tętnice, to było dla niego już za wiele. Wędrowiec zmarł i było już mu wszystko jedno, kiedy pogrążony w amoku Uub na wpół oderwał i maż wpół odgryzł mu głowę, a potem padł nieprzytomny tuż obok ciała Tensinhana, wciąż trzymając ją w objęciach.

Wędrowiec już od dawna zatopił się w nieistnieniu.

- Rero! – gdy Koko spostrzegł, że w jego przyjacielu gaśnie życie, zapaliła się w nim furia. – Wy skurwysyny! – krzyknął i pomknął w stronę Piccolo, którego złotą zbroja już powoli rozsypywała się w drzazgi i zmęczonego Vegety, powoli zaczynającego odczuwać głód.

- Nie tak szybko! – kopnięcie z tyłu, wymierzone prosto w kark, posłało go w kierunku lasu. Wyciął kilkanaście drzew, niczym spadający samolot, i wbił się w ziemię.

Gotenks stanął nad nim.

Poraniony, zmęczony walką, jednak nadal utrzymujący fuzje i trzeci poziom transformacji w super-saiyanina. Ten miesiąc spędzony w zaświatach wiele dał chłopakom. Do perfekcji doprowadzili swoją technikę błyskawicznego scalenia. I nie tylko scalenia. Nauczyli się także błyskawicznej transformacji.

A to nie było wszystko...

- Nie mam na was czasu, śmiecie! – Koko opanowała wściekłość. Jednym ruchem zrzucił wierzchnią ubranie, po czym, nie zważając na nic (w końcu świat i tak miał zostać unicestwiony) uwolnił swoją ki.

Na całej półkuli wybuchły wulkany, a niebo zasłał całun dymu. Oceany wzburzyły się i cofnęły, część wody nawet wyparowała. W lasach na całym kontynencie drzewa położyły się jak przy atomowym wybuchu.

Wielki Dono, zajęty walką z Gohanem, wykrzyczał w jego stronę reprimendę, ale Koko miał gdzieś los wszechświatów przyległych do tego. Miał gdzieś równowagę mocy, zdolność świata do jej akumulacji, czy granice jego wytrzymałości. Chciał tylko i wyłącznie zemsty.

- Zabije was! – krzyknął i ruszył w stronę Gotenksa, kiedy ten...

- Kaio-ken! – zawołał, a jego aura przybrała czerwony poblask na swoich krańcach, zwielokrotniając jego moc. Ziemia, i tak już ledwie trzymająca się kupy, przeżyła kolejny wstrząs.

Nim Koko dotarł do fuzyjnego wojownika, ten stworzył kilka wybuchowych klonów.

Wytrzymałszy i silniejszych niż te, które tworzył niegdyś, ponieważ każdy z nowych znał technikę uwolnienia kaio.

Między grupą klonów dowodzona przez ich twórcę, a płynącym od uwolnionej mocy i wściekłości Koko wywiązała się brutalna walka. Wędrowiec nie korzystał z ostrzy. Zamiast nich, jego ręce obleczone były w kryształowe rękawice, które każdy palec zamieniły w pazur, a łokieć osłoniły długim na stopę kolcem. Otaczała je elektryczna poświata, która nigdy nie gasła.

To była idealna broń dla berserka, który chciał rozszarpać swoich wrogów.

Nie zważając na rany ani nic wybuchów, Koko niszczył klona za klonem. Po kilku takich starciach niemal całe jego ciało pokryły oparzenia, zaś drugą połowę krwawiące rany. On jednak nie zważał na to. Gniew go unosił i prowadził dalej.

Niszczył przeszkodę za przeszkodą, przyjmował cios, by samemu zadać mordercze uderzenie... aż w końcu został tylko jeden.

- Już po was. – wyrzucił łapiąc oddech i jednym ruchem, mijając gardę Gotenksa, wbił mu kryształowe pazury prosto w trzewia.

Ten zaś nadał się jak balon, mający za chwilę pęknąć.

Koko dopiero teraz to wyczuł.

Te nowe wybuchające duchy bliższe były czemuś zupełnie innemu. Były niczym cieniste klony, takie, które tworzył wojownik, którego zabił przed wielu laty wiele wszechświatów stąd...

Powinien to zauważyć wcześniej, ale szał zaćmił mu umysł.

A skoro to był klon, to oznaczało, że...

- Genki...

- ...Dama!

Z dwóch stron uderzyły w niego spore, niemal wielkości człowieka, energetyczne kule.

Jak mógł nie zauważyć, że tamci się rozdzielili? Jak mógł nie spostrzec, że szykują taki atak?

Jak mógł...

Nie dokończył już trzeciego pytania – Trunks i Goten pchnęli z całych sił, aż w końcu dwie kule zlały się w jedno, zamykając w sobie swoją ofiarę.

...gdy ich ogień już się wypalił, Koko padł na glebę, bez świadomości.

Daleko od tego miejsca, w Pałacu Wszechmogącego, Popo, który zakończył już swoją opowieść, padł na kolana. Coś... Ktoś wewnątrz niego, kto powinien śnić snem bez snów, zamknięty w bryle lodu, budził się, przeżywamy ogromną energią niczym ćma światłem świecy... Nie wiedział, czemu się tak dzieje – to było stanowczo zbyt wcześnie! Ledwie przed miesiącem zadbał o pieczęcie. Nie były tak mocne, jak powinny być, jego więzień powinien słabnąć przez wieki w letargu bez ciepła i światła, a nie stawiać zacieklejszy opór... już wtedy wszystko było ewidentnie nie tak... ale nie miał prawa się zbudzić! Żadna moc w tym świecie nie miała prawa go zbudzić!

Zachował wszystkie środki ostrożności, mimo to...

Czyżby pojawienie się Wielkiego Dono tak na niego wpłynęło?

Gdyby tylko mógł uciec do innego wszechświata...

Musiał ja najszybciej temu wszystkiemu zaradzić... Musiał...

- Wszystko muszę robić sam. – westchnął Wielki Dono.

O

d jakiegoś czasu walczył z Gohanem jak równy z równym i musiał przyznać, że spodobała mu się ta walka. Młody pół-saiyanin szybko do uczył, nie popełniał dwa razy tych samych błędów i choć kilka razy otarł się o śmierć, w ostatniej chwili kierował swoją ki tak, by utrzymać się przy życiu, a potem potrafił nawet obmyśleć plan, którym mógł zaskoczyć nawet takiego mistrza, jak Wielki Dono.

Szybko ich walka przeszła do fazy statycznych prób przejrzania swoich planów i szybkich, krótkich ataków. Gohan po mistrzowsku dysponował swoją ki, nawet fale energii kształtował tak, by miały wyrządzić krzywdę jednemu celowi i to w określony sposób. Dono spalał się w płomieniach, zamarał, był rozbijany na atomy, a nic wokół nich nie ucierpiało.

To była naprawdę walka mistrza z mistrzem.

On był jednak kimś więcej. Był niszczycielem światów.

A teraz dwóch z jego ludzi stało się nieudolnych do walki (przy tym jeden znacznie zaburzył lokalną równowagę mocy), a trzeci zginął.

Gohan zaatakował.

Kiwając się kompletnie bez gardy, wystrzelił jak błyskawica, starannie skupiając ki tak, by nadała jak największą prędkość ruchowi jego ciała i utrzymywała środek ciężkości w odpowiednim miejscu, by nie musiał zdradzać uderzenia przez towarzystwo współruchu.

Wielki Dono był pod wrażeniem, jak szybko jego przeciwnik opanował jego własną technikę... ale to nadal była jego technika.

Umiejętnie odbił atak, a później, kumulując ki na czubku palca w czarny punkt, zmienił trochę lokalną grawitację tak, by zmusić Gohana, aby ten się odslonił. Nieznacznie, jednak poskutkowało, a Wielki Dono nie potrzebował wiele.

Jego dłoń wystrzeliła wprost ku piersi Gohana, w trakcie swojej błyskawicznej podróży rozbłyskując białym światłem, a Gdy dobiegła celu... weszła w ciało Gohana tak, jakby nie była materialną, a stanowiła jedynie złudzenie i igraszkę światła.

Młodego wojownika zalało zimno.

Widział już coś podobnego.

Podobnej sztuczki użył Popo, odnawiając więzienie wewnątrz swojego wymiaru. To nie była sztuka walki... to była magia!

Chciał się poruszyć, ale... nie mógł. Lodowaty dłoń ścisnęła go za serce, a krew zaczęła gęstnieć i zamarzać w jego żyłach.

Gohan był wojownikiem. Trenował przez lata, pod okiem wielu znakomitych mistrzów, stale powiększał swoje umiejętności. Nawet, jeżeli nie chciał walczyć, wracał do tego, silniejszy niż wcześniej... Ale nic nie przygotowało go na coś podobnego. Lód, niczym wirus, atakował to od środka, i choć walczył z zimnem ze wszystkich sił... nie mógł go powstrzymać.

Padł, sztywny, zmieniający się z wolna w bryłę lodu...

- Popo, przyjdź tu! – krzyknął Wielki Dono. – Przyjdź i ratuj swojego ucznia, albo reszta skończy tak samo! Braciszku, przyzywam Cię

Popo jednak nie pojawił się.

- Jak sobie życzysz... – powiedział Wielki Dono sam do siebie.

Wtedy na scenie pojawiła się kolejna postać.

- Wybaczcie spóźnienie. – powiedział Goku.

- Uciekajcie, uciekajcie... – szeptał półprzytomny Popo, który padł na łopatki w pół drogi do Komnaty Ducha i Czasu. – Uciekajcie...

- Popo, co ci jest? – zmartwiony Krilan klęknął nad przyjacielem.

- Uciekajcie...

- Mnie nie trzeba dwa razy powtarzać. – Yamcha natychmiast zabrał się do lotu. Miał już dość oglądania i wysłuchiwania rzeczy, których nie rozumiał i nic nie mógł na nie zaradzić. Jego życie zbytnio zmieniło się od czasów, gdy był pustynny rzezimieszkiem.

- Przed czym mamy uciekać? – dziwił się Krilan. – Naszych jest więcej! Wygrywają! Do tego pojawił się Wojownik w Masce...
- To Goku. – uściśliła Osiemnastka, zdradzając ukrywana od turnieju tajemnicę. Wszyscy spojrzeli na nią, jakby zapominając o majaczącym Wszechmogącym. Chi-Chi, gdy przypomniła sobie turniej, poczerwieniała od gniewu.
- Goku...
- Uciekajcie... – wyrzucił znów Popo, trafiony gorączką. – Na długo to nie powstrzymam... On wraca!
- Kto? Kto wraca?! – Krilan próbował dowiedzieć się czegoś więcej. – Popo? Popo?! Popo!

Rozdział XIV i ½ Popo gaiden

- To nie była jedną z moich pierwszych wypraw. Nie byłem wtedy początkującym gołowąsem (właściwie nigdy nim mi byłem), do tej pory zdążyłem już zyskać sławę jako prawa ręka Dono. Nigdy nie uważałem go za mistrza, chociaż może i był silniejszy ode mnie, nie mieliśmy okazji tego sprawdzić... mój brat za to lepiej nadawał się do rządzenia. Ja wolałem wykonywać rozkazy i działać sam.

Nie pamiętam już dokładnej liczby swoich ofiar, zniszczonych planet, układów, galaktyk... tamten świat zapamiętam jednak na zawsze. Myśl o nim wracała do mnie przez kolejne lata, aż w końcu zwyciężyła nad lojalnością bratu i spowodowała, że zdecydowałem się tu zostać i zaprzestać walki i destrukcji.

To był wszechświat bardzo daleko stąd.

Był zupełnie inny od waszego.

Niskoenergetyczny. Jedyne wysokie energie, jakie można było w nim spotkać, to nie było ki czy nawet genki, tylko siły tkwiące w nieożywionej materii – w gwiazdach, w czarnych dziurach... energia tego miejsca była tak nieznaczna, że nawet nie istniały tam inne płaszczyzny. Albo przynajmniej barierą między nimi była ja tyle silna, że niskoenergetyczne istnienia nie mogły jej przebyć tam i z powrotem.

- Po prostu byli słabi i nie było tam świata bogów. Umierali raz i koniec. – wyjaśniła Baba Gula, widząc skonsternowane miny zebranych. Jako wiedźma, która miała dostęp do starożytnej wiedzy, mogła się zorientować w tym, co mówił do nich Wszechmogący.

- Tak. Spędziłem tam trochę czasu i poznałem tamten świat. Choć nie mogli, tak jak tutaj, skontaktować się z bogami, trwały wśród nich opowieści o niesamowitych wydarzeniach i bohaterach, którzy doświadczyli epifanii.

- Opowiadali sobie bajki o nogach, chociaż ich nie nigdy nie widzieli. – przełożyła Gula. Mogłoby się tak wydawać, ale... ten, którego tam spotkałem...

- Gdy przybyłem do tamtego wszechświata, pierwsze, co zauważyłem, to niezwykle uporządkowanie jego energii. Zazwyczaj chaotyczna i swobodna, w każdym ze światów,

nawet w tym, tam jakby układała się wokół jednego centrum. Wokół jednego człowieka, nas pozór niczym nie wyróżniającego się na tle innych.

Kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, siedział w łodzi wraz z kilkoma towarzyszami i stamtąd przemawiał do tłumów – tak, jak przyciągał do siebie wszystko, co istniało, tak przyciągał i ludzi. To było dla mnie coś osobliwego...

- Czyli nie był szczególnie silny?

- Och nie, był najsilniejszą istotą jaką spotkałem. Jego potęga zupełnie nie pasowała do tamtego świata... jakby mógł go zniszczyć jednym skinieniem. To był absurd! On tymczasem przemierzał ulice miast i odwiedzał wsie, przychodził do tych, o których inni zapomnieli. Nic, zupełnie nic nie zdradzało, jak wielką moc w sobie nosił... poza tymi chwilami, tymi ułamkami sekund, kiedy wszechświat śpiewał na jego rozkaz. Gdy dawał jedzenie głodującym, uzdrawiał chorych, gdy martwych przywracał do życia.

- Bez smoczyc kul? – Pan zainteresowała się tym fragmentem historii, słuchając jej i obserwując jednocześnie walkę swojego ojca. – Dalej tato!

Nie mieli tam smoczyc kul. Ani wojowników. Ani czarowników.

- Co było dalej? Został królem? – spytała dziewczynka.

Nie... Zginął.

- Zabiłeś go? – spytała bezceremonialnie Osiemnastka, która zawsze miała w sobie dużo sprytu i od razu odgadła powód, dla którego Popo przybył do tamtego świata.

- Nie, nie chciałem tego zrobić... Zresztą nie byłbym w stanie, gdyby chciał ze mną walczyć. Zwykli ludzie go zabili. Mógł ich zniszczyć spojrzeniem, cały światy obrócić w pył i kurz, a on im na to pozwolił.

- To bez sensu. – skrzywił się Krilan.

- Tak myślisz? Posiadał wielką moc i to, co robił, to dawał innym życie. Czy destrukcja ma większy sens?

- I co potem stało się z tym światem? – ktoś

- Nie wiem. Kiedy zginął, cały wszechświat zapłakał... a potem energia wróciła do normy. Osobliwość zniknęła, a ja nie miałem powodu by tam zostawać.

Tylko przy każdej późniejszej misji, podczas każdej walki, każdego zabójstwa i aktu zniszczenia myślałem o tym, co tam zobaczyłem... aż trafiłem tutaj.

Resztę historii zachował dla siebie – znał ją tylko Gohan.

Prawdę o zaklętym w swoim wnętrzu wojowniku, żywym wcieleniu destrukcji, mimo którego istnienia ten wszechświat nadal istniał, jakby rządziły w nim inne prawa niż wszędzie indziej... Skrywał ją tak długo, aż sama postanowiła o sobie przypomnieć.